Sprawca – ofiara…



Co pewien czas zdarza mi się przechodzić obok budynku więzienia, albo np. widzieć grupę mężczyzn w charakterystycznych więziennych drelichach, wykonujących w parku lub wzdłuż ulicy prace porządkowe. W takich momentach myślę o czasie, gdy koordynowałem prace Ośrodka Kształcenia Biblijnego przy Kościele Chrześcijan Dnia Sobotniego, prowadzącego m. in. *Korespondencyjne Kursy Biblijne*.

Wśród tysięcy zainteresowanych tą formą kształcenia biblijnego, były też osoby, które po raz pierwszy zetknęły się z Pismem Świętym, przebywając w zakładach karnych rozproszonych po całej Polsce. Prowadząc korespondencję, nauczając Pisma, odwiedzając ich w miejscach odosobnienia, albo – gdy korzystali z przepustek – goszcząc w naszych domach i zborach, mogliśmy ich lepiej poznać i zrozumieć, a nade wszystko przybliżyć im Boga Miłości oraz Pana Jezusa Chrystusa, który z woli Ojca i zgodnie z własnym pragnieniem, jest jedynym Zbawicielem wierzących.

Kilkoro więźniów opisało swe trudne i poruszające doświadczenia, z których kilkanaście publikowaliśmy przed laty w naszych czasopismach…

Poniżej jedno świadectwo – więźnia, który pod pseudonimem (Marek Keram), w dniu 3. sierpnia 1995 roku, do powstającej *Antologii Twórczości Więziennej* przysłał tekst zatytułowany „Sprawca – ofiara”.

Marek Keram

Sprawca – ofiara…

Mała dygresja w systematycznie prowadzonych zapiskach, powinna dobrze zrobić mojej, na codzień nieco przesilonej psychice. Oderwanie się od szarzyzny życia, wejrzenie w głąb siebie, przyniesie mi, jak sądzę, pewne odprężenie, a może okaże się pożyteczne także dla innych…?

W tym celu muszę się jednak cofnąć o ponad dwadzieścia lat.

Aż tyle? Dlaczego w tak odległy czas?

Nie są to jedyne pytania, jakie trzeba postawić. Dziś widzę wyraźnie, że w kształtowaniu osobowości czas odgrywa ogromną rolę; budowanie to proces, który trwa latami… Natomiast zburzyć można bardzo szybko! Wystarczy rok. Lub nawet miesiąc. Czasami dzień. Albo nawet chwila.

Parę dni temu, studiując nr 3-4 „Stygmatu”, odczułem wewnętrzną potrzebę, by napisać coś do powstającej ***Antologii Twórczości Więziennej***. Najpierw skompletowałem swoje niepublikowane jeszcze wiersze. Potem, po dłuższej rozwadze, postanowiłem opisać coś jeszcze.

To „coś”, to uczucia. Uczucia na linii” ofiara – sprawca .

Chcę tutaj wystąpić raz jako sprawca, a raz jako ofiara. Potem zaś równocześnie jako sprawca i ofiara w jednej osobie, lecz w innym czasie i miejscu oraz okolicznościach.

To już ponad dwadzieścia lat minęło od chwili, kiedy musiałem zdać dwa, życiowo ważne dla mężczyzny – którym wszak jestem według ciała – egzaminy.

Co, pierwszy oblałem.

Miałem być mężem dla mojej żony. Najpierw ceremonia ślubna. Tę zdałem na piątkę! Ale to była zewnętrzna oprawa; rzec można,

strona teoretyczna. Testy praktyczne okazały się nie do przebycia. Bardziej nadawałem się na żonę, aniżeli na męża. Nie byłem mężczyzną dla żony, lecz jej partnerką. Umiałem wszystko to, czego ona nie umiała. Potrafiłem gotować, piec, dbać o porządek, pieścić się z nią, lecz… No właśnie! Gdzie ten mężczyzna?

- „Emocje, przemęczenie, itp. To cię stresuje. Spokojnie. Poczekamy. – Żona była wyrozumiała.

A więc czekaliśmy.

Lecz jak długo można czekać?

Nim przyszła odpowiedź na to pytanie – praktycznie pozostało bez odpowiedzi – musiałem stanąć do drugiego męskiego egzaminu. Powołano mię do wojska. Miałem zostać żołnierzem!

Przez dziewięć miesięcy czyniono wszystko, by zrobić ze mnie prawdziwego mężczyznę. Niestety, ten okres miał swój finał przed Sądem Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Oblałem kolejny egzamin, stając nieoczekiwanie wobec trzeciego. To, że będę go musiał zdawać, nie przyszło mi do głowy w najgorszych, najczarniejszych snach!

Po dziesięciu dniach procesu nadszedł jedenasty. Myślałem, że będzie podobny do poprzednich, a tymczasem był dla mnie przełomowy.

Siedziałem na ławie oskarżonych przygnębiony i przybity zeznaniami kolejnych świadków i mową prokuratora, który dla mnie, sprawcy zabójstwa, żądał najwyższego wymiaru kary!

Byłem odrętwiały. Z letargu obudziły mnie słowa Matki Ofiary (Nie! To niemożliwe!… Co ona mówi?… Czy ja śnię?… Tego się nie spodziewałem. Oczekiwałem na kolejne słowa potępienia. Tymczasem…)

Nie zacytuję tutaj dokładnie Jej słów. Nie wiem też czy, i w

jakiej formie zostały zaprotokołowane, i czy osoby uczestniczące w rozprawie odebrały je z takimi samymi uczuciami, jak ja. Nie wiem, jakie wrażenie wywarły na sędziach, prokuratorze czy obrońcy, nie wspominając o moich Rodzicach… (Przyznaję się, że nigdy Ich o to nie zapytałem, nawet gdy potem byłem w domu. I chyba już mi na to pytanie nigdy nie odpowie.)

„Dość cierpienia w jednej rodzinie!… Wystarczy bólu serca jednej matki!… Po co ranić drugą rodzinę; po co ranić i tak zranione serce drugiej matki!… Żadna kara żadne cierpienie iluś tam ludzi nie odwróci biegu wypadków… Nie przywróci życia mojemu synowi… Dlatego proszę Wysoki Sąd o wyrozumiałość;

Nie można drugą śmiercią przywrócić życia! Innym cierpieniem złagodzić pierwsze!

Ja, matka Jerzego, mego nieżyjącego syna, słucham i patrzę na obecnego tutaj, oskarżonego o ten czyn człowieka… Patrzę, i nie wierzę, aby to mógł uczynić!…

Jak było, wiedzą tylko oni dwaj. Mój syn nie wstanie, i nie powie… Słowa tego pana – wskazała na mnie – zasiały we mnie poważną wątpliwość co do jego całkowitej winy. Słuchając go zrozumiałam, że on cierpiał i nadal cierpi. Sam w życiu został skrzywdzony, po cóż dalej go gnębić i zadawać ból jego matce?…

Proszę Wysokiego Sądu, nie domagam się jego ukarania. Ja tego nie pragnę. A jak było naprawdę – tego nie wiem. Zrobił to, czy nie zrobił; ile w tym było jego winy, a ile winy mojego syna – tego też nie wiem… Nie zrzucam winy na tego pana. Nie potępiam go. Ale przebaczam.”

Przytoczyłem, acz niedosłownie – bo emocja i mijający czas nie sprzyjały zapamiętaniu wszystkiego – treść i sens wypowiedzi Matki mojej ofiary.

Myślę, że większego wrażenia nie wywarłby na mnie nawet wyrok uniewinniający! To, co powiedziała ta kobieta, znaczyło dla

mnie więcej, niż uniewinnienie!… Nie przewidziałem tylko jednego, tego, że w przyszłości te słowa przebaczenia i pojednania, będą ogromnym obciążeniem dla mojej psychiki. Że w całym okresie odbywania kary, będą do mnie powracać i mnie męczyć.

Zapytacie, dlaczego?

Myślę, że podstawową rolę odgrywa tutaj sumienie. Każdy je ma, choć prawie każdy inne. Niebagatelne znaczenie, także dla kształtu sumienia, ma wychowanie, środowisko, w którym wyrastaliśmy i żyjemy. Tutaj funkcjonują określone stereotypy:

- <Płacze – mazgaj! Oferma życiowa! Fajtłapa!”>
- <Nie płacze – jest hardy! Bez sumienia! Wyzuty z wszelkich uczuć!>

Czyli i tak źle, i tak niedobrze! Wychowanie, otoczenie i samokrytycyzm, lub jego brak; wszyscy jesteśmy wypadkową ich wpływu.

Ale wracam do tego dnia i następnych.

To dziwne, ale poczułem się naprawdę lepiej. Nawet gdy usłyszałem, że skazano mię na 25 lat, nie byłem załamany tak, jak moi Rodzice. Cały czas brzmiały mi w uszach słowa Matki ofiary: ***„Przebaczam, i nie potępiam!”…***

Ale gdy mówiłem swoje „Ostatnie Słowo”, żelazna obręcz ściskała mi gardło, a z oczu, wbrew mej woli popłynęły łzy. Jakie wrażenie zrobiło to na osobie sędziego i ławnikach? Nie wiem. Prawdopodobnie pomyśleli, że jestem skruszony, załamany i przerażony?… Nie wiem, naprawdę nie wiem…

A ja byłem przerażony, byłem załamany, ale przede wszystkim byłem głęboko upokorzony i zawstydzony. Czułem się niegodny, by raz jeszcze spojrzeć na tę Kobietę! Wówczas jeszcze tego nie ogarniałem, ale już wtedy podświadomie potępiałem siebie i

gardziłem sobą!

Owo współpoczucie winy i samopotępienie, odezwało się w trzecim roku odbywania kary. Zacząłem uważnie obserwować swoje otoczenie, analizować postawy i zachowania współwięźniów…

Zaskoczyło mię to, że każdy z nich, w swym własnym mniemaniu był „niewinny”. Wina była wszędzie: w czasie, miejscu, okolicznościach, ofiarach – lecz nigdy w sprawcy…

Zawsze wszystko było tak pogmatwane, że sprawca nie był sprawcą, lecz jednym ze składników, i jego wina była zaledwie cząstkowa.

Nie byłby winny, gdyby zamiast deszczu – świeciło słońce; zamiast piątku – był wtorek; zamiast zimy – lato; gdyby Kraków był w Gdańsku, a nie w Krakowie, a ofiara siedziała w domu, zamiast wychodzić na ulicę!

W rezultacie sprawcą stawała się pewna forma bezosobowa, która powstawała w umyśle i fantazji właściwego sprawcy. Krótko mówiąc: wszystko i wszyscy – tylko nie on!

Wtedy powróciła do mnie moja sprawa, i natychmiast – jak pęcherzyk powietrza z wody – wyskoczyła tamta mowa Matki mojej ofiary.

To był początek mojej gehenny.

Od tego dnia w każdej dyskusji na temat spraw, wyroków, winy i kary, ja zawsze mówiłem: „Jestem winny”.

Patrzono na mnie jak na wariata.

W zakładzie mieszczącym około tysiąca skazanych, ja jeden twierdziłem, że jestem winien, a kara jest współmierna do przestępstwa, i godzę się na nią.

Zaczęto brać na mnie poprawkę, a ja – nic sobie z tego nie robiąc – rzuciłem się w wir pracy. Przy czym pojawiła się, i

coraz mocniejsza, wprost obsesyjna stawała się myśl, że moja kara jest zbyt niska w stosunku do winy! Nie, nie chodziło mi o to, żeby mnie powiesili, albo skazali na 50 lat więzienia. Chodziło mi raczej o jakość kary. No bo w końcu jest tak: jem, śpię, wypoczywam, a jedynym ograniczeniem jest brak wolności…

I tu następuje paradoks. Od tamtego dnia mija niewiele miesięcy, a ja zaczynam starania o zmniejszenie kary! Dziwne, prawda ? Ale zaraz to wyjaśnię.

Jak zaznaczyłem, rzuciłem się w wir pracy. Szukałem jej wszędzie. Wolne miałem tylko noce. Po pracy zarobkowej, czy jak ją nazywano <przymusowej> (to nieco inne czasy, gdy więźniowie nie mają prawie żadnego zajęcia), pracowałem społecznie, a zarobione pieniądze wysyłałem na różne fundacje i cele dobroczynne. Pomagałem kolegom („Istny wariat! Daje, i nic za to nie chce”).

Dlaczego więc chciałem zmniejszenia wyroku?

By wyjść i na wolności pomagać innym; czynić dobro, i tylko dobro!

Uświadomiłem sobie, że w więzieniu mam ograniczone możliwości niesienia pomocy, a do tego nie zawsze okazuję ją najbardziej potrzebującym. Natomiast za murem będę w stanie zrobić więcej, służąc najbiedniejszym.

Obsesja <nadpoczucia> winy nie opuszczała, i zadręczała mię. Stawiałem siebie niżej od wszystkich ludzi; we własnych oczach byłem kimś gorszym, mając świadomość, że pracą i tylko pracą oraz pomocą wyświadczaną innym, mogę awansować w gradacji ludzkiej wartości. Tą myślą żyłem, tylko ona broniła mię od zwątpienia i szaleństwa, i rodziła nadzieję ocalenia mego człowieczeństwa..

Stało się!.

Po czternastu latach więzienia wyszedłem na wolność! Wtedy –

był piękny dzień, 23. czerwca 1989 roku – cieszyłem się jak dziecko!

Dziś jednak mówię stanowczo: wyszedłem za wcześnie!

Na wolności – tej wolności, którą przedtem pisałem przez duże „W", a teraz zdecydowanie przez małe „w" – byłem przez dwa i pół roku. Dlaczego? – Wszystkie moje plany, ogromna emocja i cała moja wizja dobrego świata i dobrych ludzi, których symbolem była Matka mojej Ofiary – runęła, rozpadła się w pył! Był to dla mnie kolejny szok, a mówiąc językiem z dawnych lat, następny oblany egzamin… Wiedziałem od dawna, że życie jest bardzo dobrym nauczycielem, a teraz miałem się przekonać, że jest także szczególnie surowym i wymagającym egzaminatorem.

Zastałem ludzi pędzących na oślep, wydzierających sobie wszystko i wzajemnie się nienawidzących . Każdy chciał mieć więcej, nie zwracając uwagi na cenę – na koszt, jakim to zdobywa. Drugi człowiek i jego potrzeby czy doznania, zupełnie się nie liczyły; to tylko – w najlepszej sytuacji – rywale, ale najczęściej wrogowie!

Nie mogłem, nie umiałem się z tym pogodzić.

Wolność, której tak bardzo pragnąłem – nie chciała mnie! Nie chciałem być przestępcą, a więc znów kraść, napadać i rabować. Nie chciałem być wulgarnym, złym, nieludzkim! Nie to sobie wymarzyłem w długie więzienne dni i noce!

Więc kim miałem być?

Znów przestępcą? – Nie!

Ofiarą?…

No właśnie. Ofiarą własnej imaginacji, chyba tak to wygląda…

Ależ nie! I jeszcze raz – nie!

Moje widzenie tego świata legło w gruzach. Nikt nie chciał

mnie, ani mojej pracy… Liczyła się tylko pazerność, brutalność, przebiegłość i chamstwo!

O tym, kim chciałem być, szybko zadecydowało samo życie.

Stałem się bezrobotnym i bezdomnym żebrakiem!

Jedynymi ludźmi, którzy z serca chcieli mi pomóc, byli biedacy, pozostający na łasce właściciela. Nie mogli mi więc zapewnić ani pracy, ani mieszkania. A bez mieszkania, nie ma stałego zameldowania, bez tego zaś – nie ma pracy. Zaklęty krąg się zamyka.

Nie chciany przez nikogo, ruszyłem w Polskę, w poszukiwaniu „dobrego świata", który jak piękny lecz złudny miraż wciąż kusił, ale i wciąż przede mną uciekał.

Jaki jest los bezdomnego?

Pracowałem dorywczo, „na czarno", ale ze względu na swój status byłego więźnia, byłem nieludzko traktowany i wykorzystywany. Gdy upominałem się o swoje, wylatywałem „na mordę" – i dobrze, jeśli nie byłem pobity i dostawałem marne parę groszy. Ale bywało i tak, że głodny i bez grosza lądowałem na bruku… Co mi wtedy zostawało? – Zbieranie butelek i resztek żywności. Czasem nie jadłem dwa, albo i trzy dni.

Myśli kłębiły się w głowie: Ot, masz swój dobry, wyśniony świat, do którego było ci tak śpieszno! Czyń teraz to dobro, które planowałeś! Pomagaj innym…

Śmiałem się i płakałem. Gorycz i żal, ale najbardziej przykrość i ból zalewały mi serce!

Czara goryczy przelała się, gdy się zorientowałem, że także wśród takich jak ja, panują te same drapieżne reguły gry. Bezwzględność, okrucieństwo i pazerność – by przetrwać za wszelką cenę!

I wtedy uciekłem!

Uciekłem do siebie, a ściślej w siebie.

Zostałem sam na sam z sobą. Nieufny, nie ufający już nikomu i niczemu. Zamknięty w sobie. Milczący…

Od czasu do czasu, na dzień lub dwa, wpadałem do Rodziców. (Dłużej nie mogłem tam zostać, gdyż właściciel domu donosił na policję, że mieszkam nie meldowany. Policja upominała mnie i kazała wyjeżdżać. Nie mówili tylko – gdzie…).

Ale wracam do Rodziców. Musiałem im kłamać, że pracuję, że jakoś daję sobie radę. – Słuchali…

Ale swoje na pewno wiedzieli. Szczególnie Mama. Gdy się budziłem i miałem wyjeżdżać, zawsze miałem więcej kanapek, niż na jednodniową podróż, a w kieszeni więcej pieniędzy niż miałem przyjeżdżając… Nie prosiłem o nie. Nie pytałem o nic. Oni też nie…

Po wyjściu z domu szedłem gdzieś w kąt i płakałem. A przy okazji – niestety! – topiłem ból, rozpacz i żal w alkoholu. To jednak oczywiście niczego nie rozwiązywało. Po wytrzeźwieniu miałam podwójnego kaca, fizycznego i moralnego.

Nie wiedziałem jednak, że najgorsze jest jeszcze przede mną. Bo chociaż już kilkakrotnie wcześniej zostałem napadnięty, pobity i okradziony z tego, co uzbierałem, to nie miałem złości, ani nawet żalu do sprawców tych napadów. Nie potępiałem ich.

Ale moje nastawienie uległo zmianie. Stało się to w dniu, kiedy po raz kolejny zostałem napadnięty, pobity, okradziony, i… – właśnie coś nowego – zgwałcony!

Tak, zgwałcony i to brutalnie Ostatni bastion mojego wymarzonego, sprawiedliwego świata, legł w gruzach. Teraz byłem naprawdę ofiarą. Ofiarą w pełnym znaczeniu tego terminu – fizycznym, moralnym, i prawnym.

Coś we mnie pękło.

Nie powiedziałem sprawcom: „Przebaczam wam, i nie potępiam”. Czyżbym odstąpił od swych postanowień i przyjętego systemu wartości? Czyżbym zdradził siebie samego?…

Nie! Wprawdzie nie powiedziałem „przebaczam”, ale nie powiedziałem też, że życzę im wszystkiego najgorszego. Nie powstało we mnie, nie zrodziło się pragnienie zemsty,

Nabrałem tylko odrazy i wstrętu do płci, której sam według ciała jestem przedstawicielem. Od tamtego czasu – a analizuję siebie i swoje doznania uważnie – odraza i wstręt do otaczających mię mężczyzn, nie przerodziła się w mściwość czy nietolerancję. Nie. Jednak nie ufam już żadnemu z nich. Rozmawiam wtedy, gdy muszę. Załatwiam jakieś sprawy, gdy nie ma z kim. Po prostu: są, bo są. I tylko dlatego ich toleruję. Ale widzę w każdym z nich głodnego, dzikiego i brutalnego samca, gotowego za każdą cenę zaspokoić swoje popędy, żądze i zachcianki. „Nie istnieje nikt i nic, tylko ja!” – oto ich dewiza. Każdego bez wyjątku! Nic, tylko „być i mieć!”, oraz „chcieć i mieć”!

Musiałem ponownie wrócić do siebie, to znaczy do więzienia, by znów być sobą. Czymś innym – winnym i gorszym. Być sprawcą i ofiarą w jednej osobie. To paradoks, ale tu mogę znów czynić dobro – być pomocny dla innych. A przy tym mieć świadomość, że mimo winy jest ktoś, kto mi wybacza i nie potępia. Tak, to prawda, znów mi wybaczono. Tylko ja sobie nie!

Jest jak dawniej.

Powoli odbudowuję mój świat… Pytam nieraz, czy ten mój świat będzie kiedyś Waszym?… Inaczej: Czy Wasz świat będzie kiedyś moim światem?… Jeżeli tak, to cieszę się, gdyż będę mógł wreszcie sam sobie wybaczyć, i nie stawiać się niżej od innych ludzi.

Jest jeszcze jedno, a właściwie to dwa pytania, które sobie stawiam. Dwa pytania w jednym, tak samo, jak sprawca i ofiara w jednej osobie. Tak samo, jak dwie natury w jednym ciele,

wzajemnie się nie cierpiące, lecz tolerujące, gdyż muszą żyć, innego wyjścia nie ma, czyli – jak mawiali starożytni Rzymianie – ***Tertium non datur***!

Czas kończyć to moje zestawienie i porównanie dwu przeciwności w jednym. Postawię jednak jeszcze te wspomniane dwa pytania w jednym.

- **Czy zmieni się świat do czasu mojego ponownego wyjścia na wolność?**

Przyznam, że teraz żyję tym pytaniem, i nadzieją, że tak. Że świat zmieni się wyraźnie na lepsze.

– Ale, czy ja wyjdę?

Na to pytanie, nawet moja ufność nie jest w stanie odpowiedzieć w pełni twierdząco.

3. sierpnia 1995 rok